

## PROLOG

W 1957 roku obiekt będący wytworem człowieka został wystrzelony w kosmos i przez kilka tygodni krążył wokół Ziemi zgodnie z tymi samymi prawami grawitacji, które wyznaczają ruch ciał niebieskich – Słońca, Księżycy i gwiazd. Ów satelita, wytwór człowieka, nie był wprawdzie księżycem ani gwiazdą, ciałem niebieskim, które może krążyć po orbicie tak długo, że dla nas, śmiertelników ograniczonych czasem ziemskim, trwa to całą wieczność. Mimo to udało mu się przez pewien czas pozostać w przestworzach; zamieszkiwał i poruszał się w pobliżu ciał niebieskich, jak gdyby na próbę został dopuszczony do ich wzniosłego towarzystwa.

Wydarzenie to, niemające sobie równego, ważniejsze nawet od rozszczepienia atomu, zostałoby powitane z niezmaconą radością, gdyby nie towarzyszyły mu niewygodne okoliczności militarne i polityczne. To dziwne, ale wydarzenie to nie wywołało triumfalnej radości. Serca ludzi, którzy spoglądając z Ziemi ku niebu, mogli ujrzeć tam rzecz będącą ich własnym wytworem, nie były przepełnione dumą czy podziwem dla potęgi i kunsztu człowieka. Bezpośrednią, impulsywną reakcją była ulga wywołana przez ów pierwszy „krok ku wydobyciu się człowieka z ziemskiego więzienia”. To dziwne stwierdzenie amerykańskiego reportera, niebędące zgoła przypadkowym przejęzyczeniem, nieświadomie powtarzało niezwykle słowa wyryte przeszło dwadzieścia lat wcześniej na pomniku nagrobnym jednego z wielkich rosyjskich naukowców: „Ludzkość nie jest przykuta do Ziemi na zawsze”.

Takie odczucia są od pewnego czasu czymś powszechnym. Nie dowodzą, że ludzie z trudem nadążają za odkryciami nauko-

wymi i rozwojem technicznym i do nich się dostosowują, lecz przeciwnie, że wyprzedzają je o całe dziesięciolecia. W tym wypadku nauka, podobnie jak pod innymi względami, urzeczywistniła i potwierdziła to, co ludzie antycypowali w marzeniach, które nie były ani szalone, ani daremne. Nowością jest tylko to, że jedna z najszacowniejszych gazet w kraju w końcu zamieściła na pierwszej stronie coś, co wcześniej spoczywało pogrzebane w niecieśzającej się wielkim szacunkiem literaturze *science fiction* (której, niestety, jeszcze nikt nie poświęcił tyle uwagi, na ile zasługuje jako nośnik masowych uczuć i pragnień). Banalność przytoczonego stwierdzenia nie powinna nam przesłonić jego niezwykłości; otóż pomimo że chrześcijanie mówili o Ziemi jako padole łez, a filozofowie uważali swe ciała za więzienie umysłu lub duszy, w całej historii ludzkości nie zdarzyło się, by ktoś Ziemię pojmował jako więzienie dla ludzkich ciał bądź tak gorąco – i dosłownie – pragnął udać się na Księżyc. Czyżby emancypacja i sekularyzacja epoki nowożytnej, rozpoczęta odwróceniem się nie tyle od Boga, ile od boga, który jest Ojcem ludzi w niebie, miała się skończyć jeszcze bardziej zgubnym wyparciem się Ziemi, Matki wszystkich żyjących pod niebem stworzeń?

Ziemia jest samą kwintesencją kondycji ludzkiej i z tego, co nam wiadomo, ziemska przyroda może być we wszechświecie wyjątkiem, jeśli chodzi o zapewnianie istotom ludzkim środowiska, w którym mogą oddychać bez wysiłku i bez sztucznej aparatury. Świat rzeczy wytworzonych przez człowieka, ludzkie artefakty, oddzielają ludzką egzystencję od całego środowiska czysto zwierzęcego, lecz życie samo w sobie pozostaje na zewnątrz owego sztucznego świata i poprzez nie człowiek zachowuje związek z wszystkimi innymi żywymi organizmami. Od pewnego czasu naukowcy niemało wysiłku wkładają w to, by również życie uczynić „sztucznym”, by przeciąć ostatnią więź łączącą człowieka z dziećmi natury. To samo pragnienie ucieczki z ziemskiego więzienia widoczne jest w próbie stworzenia życia w probówce, w pragnieniu zmieszania pod mikroskopem „zamrożonej protoplazmy zarodków, pochodzącej od ludzi wykazujących wybitne zdolności, w celu wytworzenia najdoskonalszych istot ludzkich” oraz „zmia-

ny [ich] rozmiaru, kształtu i funkcji”. Podejrzewam, że u podstaw nadziei na wydłużenie okresu życia ludzkiego daleko poza granicę stu lat również leży chęć ucieczki od kondycji ludzkiej.

Człowiek przyszłości, którego wyprodukowanie w ciągu najbliższych stu lat zapowiadają naukowcy, wydaje się owładnięty buntem przeciwko egzystencji ludzkiej jaka została nam dana, swobodnemu darowi pochodzącemu znikąd (ujmując rzecz w kategoriach świeckich); chce ją zamienić na coś, co sam wytworzył. Nie ma powodu wątpić w nasze możliwości dokonania takiej zamiany, tak jak nie ma powodu wątpić w to, że obecnie jesteśmy w stanie zniszczyć wszelkie życie organiczne na Ziemi. Pytanie tylko, czy chcemy wykorzystać w ten sposób naszą nową wiedzę naukową i techniczną, a tego pytania nie da się rozstrzygnąć środkami naukowymi; jest to kwestia polityczna pierwszorzędnej wagi i dlatego nie można jej pozostawić decyzji naukowców czy zawodowych polityków.

Podczas gdy takie możliwości ciągle jeszcze należą do przyszłości, być może odległej, pierwsze skutki wielkich triumfów nauki dały się odczuć w postaci kryzysu samych nauk przyrodniczych. Kłopot dotyczy faktu, że „prawdy” nowoczesnego światopoglądu naukowego, aczkolwiek mogą być przedstawione w formułach matematycznych i udowodnione na gruncie techniki, nie nadają się już do normalnego wyrażenia ich w mowie i myśli. Gdy wypowiada się je za pomocą pojęć i w sposób koherentny, wynikają z nich stwierdzenia „być może nie aż tak bezsensowne jak «trójkątne koło», ale o wiele bardziej bezsensowne niż «skrzydłaty lew»” (Erwin Schrödinger). Nie wiemy jeszcze, czy tak będzie zawsze. Jest jednak możliwe, że będąc stworzeniami związanymi z Ziemią, które zaczęły postępować tak, jakby były mieszkańcami wszechświata, nigdy już nie będziemy w mocy zrozumieć rzeczy, które mimo wszystko potrafimy robić, to znaczy nie będziemy umieli myśleć i mówić o nich. W takim przypadku nasz mózg, stanowiący fizyczne, materialne uwarunkowanie naszych myśli, byłby jak gdyby niezdolny nadążać za tym, co robimy, i odtąd rzeczywiście potrzebowalibyśmy sztucznych urządzeń, które by za nas myślały i mówiły. Gdyby okazało się prawdą, że wiedza

(w nowoczesnym sensie wiedzieć-jak) i myśl rozstały się na dobre, stalibyśmy się w istocie bezsilnymi niewolnikami nie tyle naszych maszyn, ile naszego wiedzieć-jak, bezmyślnymi istotami na łasce każdego urzędnika, które jest technicznie możliwe, bez względu na to, jak dalece byłoby zabójcze.

Niezależnie od tych ostatecznych, niepewnych jeszcze konsekwencji, sytuacja stworzona przez nauki ma wielkie znaczenie polityczne. Ilekroć zagrożona jest istotność mowy, mamy do czynienia ze sprawami, które stają się politycznymi na mocy definicji, ponieważ właśnie mowa czyni człowieka istotą polityczną. Gdybyśmy poszli za radą, którą tak często nam się podsuwa, by dostosować nasze postawy kulturowe do obecnego stanu osiągnięć naukowych, z całym przekonaniem przyjęlibyśmy sposób życia, w którym mowa nie jest już sensowna. Bowiem nauki są dziś zmuszone przyjmować „język” symboli matematycznych, które, choć pierwotnie pomyślane jedynie jako skrót wypowiedzi językowych, zawierają obecnie stwierdzenia niedające się w żaden sposób przełożyć z powrotem na mowę. Głównym powodem, dla którego słusznie nie ufa się politycznym sądom naukowców jako naukowców, nie jest brak „charakteru” – to, że nie odmówili pracy nad rozwojem broni atomowej – lub ich naiwność – to, iż nie rozumieją, że gdy już wytworzono tę broń, oni będą ostatnimi, u których będzie się zasięgać rady co do jej użycia – lecz właśnie fakt, że poruszają się w świecie, w którym mowa utraciła moc. Wszystko, co ludzie robią, wiedzą lub czego doświadczają, może mieć sens tylko na tyle, na ile można o tym mówić. Mogą istnieć prawdy poza mową i mogą one mieć wielkie znaczenie dla pojedynczego człowieka, to jest o tyle, o ile nie jest on istotą polityczną, bez względu na to, czym poza tym mógłby być. Ludzie w liczbie mnogiej, czyli o tyle, o ile żyją, poruszają się i działają w tym świecie, doświadczają sensowności tylko dlatego, że mogą ze sobą rozmawiać i nadawać sens sobie wzajemnie i sobie samym.

Bliższe w czasie i może równie rozstrzygające jest inne wydarzenie, nie mniej groźne. Jest to nastanie ery automatyzacji, która w ciągu kilku dziesięcioleci prawdopodobnie opróżni fabryki i uwolni ludzkość od najdawniejszego i najbardziej naturalnego

brzemienia, to jest ciężaru pracy i zniewolenia koniecznościami życiowymi. Tu także zagrożony jest fundamentalny aspekt kondycji ludzkiej, lecz bunt przeciwko niemu, pragnienie uwolnienia się od „trudu i udręki” pracy, nie zrodził się w epoce nowożytnej, lecz jest tak stary jak udokumentowana historia. Wolność od pracy nie jest niczym nowym; ongiś należała do najmocniej ugruntowanych przywilejów nielicznych. W tym przypadku wydaje się, jakby postęp naukowy i rozwój techniczny zostały jedynie wykorzystane do osiągnięcia tego, o czym wszystkie minione stulecia śniły, choć żadne nie mogło tych marzeń zrealizować.

Są to jednak tylko pozory. Epoka nowożytna przyniosła teoretyczną gloryfikację pracy i zaowocowała faktycznym przekształceniem całości społeczeństwa w społeczeństwo pracujące. Spełnienie się życzenia, jak w baśniach, następuje w chwili, gdy może ono jedynie samo siebie unieważnić. Społeczeństwo pracowników ma zostać wyzwolone z okowów pracy, a nie zna już innych, wyższych i więcej znaczących czynności, w imię których warto tę wolność zdobywać. W tym społeczeństwie, które jest egalitarne, bo taki właśnie charakter nadaje wspólnocie ludzkiej praca, nie ma już żadnej klasy, żadnej arystokracji natury politycznej czy duchowej, od której przywracanie innych ludzkich zdolności mogłoby rozpocząć się na nowo. Nawet prezydenci, królowie i premierzy myślą o swych urządach w kategoriach pracy koniecznej do życia społeczeństwa, a wśród intelektualistów jedynie odosobnione jednostki to, co robią, uważają za pracę twórczą, a nie zarabianie na życie. Mamy przed sobą perspektywę społeczeństwa pracowników bez pracy, czyli bez jedynej aktywności, jaka im jeszcze pozostała. Z całą pewnością nie ma nic gorszego.

Książka ta nie oferuje odpowiedzi na owe troski i kłopoty. Takich odpowiedzi udziela się codziennie i są one sprawą praktyki politycznej, przedmiotem ugody wielu ludzi; nie mogą nigdy załżeć od rozważań teoretycznych ani od opinii jednej osoby, ponieważ nie mamy tu do czynienia z problemami, które mają tylko jedno możliwe rozwiązanie. Proponuję natomiast ponowne rozważenie kondycji ludzkiej z perspektywy naszych najnowszych doświadczeń i najświeższych obaw. Jest to oczywiście kwestią

myślenia, a bezmyślność – nierozważna lekkomyślność, beznadziejny nieład myślowy lub pełne samozadowolenia powtarzanie „prawd”, które stały się trywialne i puste – wydaje się jedną ze znamiennych cech naszych czasów. Moja propozycja jest zatem bardzo prosta: chodzi jedynie o to, byśmy pomyśleli nad tym, co robimy.

„Co robimy” rzeczywiście jest głównym tematem tej książki. Zajmuje się ona tylko najbardziej elementarnymi artykulacjami kondycji ludzkiej, czynnościami, które tradycyjnie i zgodnie z powszechną opinią znajdują się w zasięgu każdej istoty ludzkiej. Z tych i innych jeszcze powodów najwyższa i może najczystsza spośród czynności, do których zdolni są ludzie, czynność myślenia jest wyłączona z obecnych rozważań. Książka zatem planowo ogranicza się do wypełniającej jej trzy środkowe rozdziały dyskusji o pracy, wytwarzaniu i działaniu. Jeśli chodzi o ujęcie historyczne, w ostatnim rozdziale zajmuję się epoką nowożytną, a w całej książce różnymi konstelacjami w łonie hierarchii czynności, konstelacjami, o których dowiadujemy się z dziejów Zachodu.

Epoka nowożytna nie jest jednakże tym samym co świat nowoczesny. Ujmując rzecz naukowo, epoka nowożytna, która rozpoczęła się w wieku XVII, dobiegła końca na początku XX wieku; ujmując rzecz w kategoriach politycznych, świat nowych czasów, w którym żyjemy dzisiaj, narodził się wraz z pierwszymi wybuchami atomowymi. Nie omawiam tu nowoczesnego świata, który służył za tło przy pisaniu tej książki. Poprzestaję, z jednej strony, na analizie owych ogólnych ludzkich zdolności, które wyrastają z kondycji ludzkiej i są trwałe, to jest nie mogą zostać bezpowrotnie utracone, dopóki nie zmieni się sama kondycja człowieka. Z drugiej strony, celem analizy historycznej jest odnalezienie źródeł nowożytnego wyobcowania człowieka ze świata – jego dwojakiej ucieczki, z Ziemi w kosmos i od świata we własne ja – aby zrozumieć naturę społeczeństwa, które możemy obserwować w chwili, gdy odchodzi ono w przeszłość wraz z nastaniem nowej i jeszcze nieznannej epoki.